



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

**Zofia Urbanowska.**

### VIII.



m dłużej mieszkalem na wyspie Atlancie, tem więcéj przywiązywałem się do niéj. Dobrze mi było w otoczeniu moich kochanych królewien i ich dzieci garnących się do mnie tak serdecznie; dobrze w towarzystwie szlachetnych królewiczów — i choć król Dobromił prosił mnie kilkakrotnie żebym na dwór jego powrócił, nie mogłem się na to zdecydować.

środku, ze znaną mi już srebrną puszką w jednéj ręce, a listem w drugiej.

— Kochany mistrzu — rzekł zaraz ujrzawszy mnie — otrzymałem od Zielonki dar z którym nie wiem co robić. Poradź mi proszę!

I rozpieczętowawszy list przeczytał głośno.

„Panie i Bracie mój. Pióropuszek obdarował mnie bardzo kosztownym chińskim przysmakiem. Nie chcąc samolubnie dogadzać własnemu podniebieniu, a pragnąc tą niebywałą dotąd u nas osobliwością, uczcić wielce mi milego Pana a Brata, posyłam Ci go, życząc Tobie i całej Twój rodzinie smacznego apetytu.

Pióropuszek utrzymuje że grzyby należą do królestwa roślin, i dla tego chińskie przysmaki dla mnie są właściwsze niż dla niego. Ale wedle mego widzenia, jakkolwiek przysmaki te składają się z części zwierzęcych i roślinnych, Tobie one najślusniej należą się miły Bracie, bo tak rośliny, jak zwierzęta, żywią się minerałami: pierwsze, pochłaniając je rozpuszczone w wodzie, lub unoszące się w postaci gazów w powietrzu, a drugie używając roślin na pokarm.

Sercem miłujący brat

*Zielonko.*”

Przeczytawszy do końca, Kryształek spojrział na mnie wzrokiem proszącym i zapytał:

— Co z tym fantem robić?

Wstępując na stopnie pałacu Kryształka, spotkałem paza w barwie królewicza Zielonki, wychodzącego właśnie ztamtąd. Niósł jakieś wielce misterne pudełko, podobne tym jakie zwykłe używają się do klejnotów. Widocznie Kryształek posyłał podarunek swojej pięknej bratowej, ale dla czego nie użył do téj przesyłki swego własnego paza? Zaciekawiony wstąpiłem do komnaty królewicza i zastałem go stojącego na



— Skosztować — odrzekłem zaledwie wstrzymując uśmiech — ma to być wyborna i posilna do zup przyprawa!

— O! za nic w świecie! Proponowałem już Iskierce, ale ani chce słyszeć o tem, i nie dziwię się jej. Chyba że ty, mistrzu kochany, coś cały świat kilkakrotnie objechał i musiałeś poznać sposoby żywienia się wszystkich narodów, zdecydujesz się jeść, to każę te grzyby kucharzowi przyprawić po dług chińskiej recepty. Posiada on znakomite dzieło chińskie *Pents'au* w trzydziestu ośmiu tomach, poświęcone wyłącznie tego rodzaju produktom.

— Bardzo Waszój królewiczowskiej mości dziękuję — odrzekłem skromnie — nie jestem ja smakoszem ubiegającym się za wytwornościami.

— A więc posłę je posłowi chińskiemu, który jak słyszę, miał dziś posłuchanie u mojego brata. On może spożyje ze smakiem te narodowe obrzydliwości.

— Mandarynowi Si-ano-y-Si-ecz-ka? Niepodobna! bo on to właśnie przywiózł w darze od władcy państwa niebieskiego tę puszkę twemu miłościwemu bratu. Odsyłać mu ten dar, byłoby wyrządzić jego monarsze obelgę, mogącą dwa sympatyzujące dotąd z sobą państwa, doprowadzić do ważnych nieporozumień i zakłóceń. Ale wiesz co, miłościwy królewiczu! zrób jak ci radzi Zielonko: uważaj ten przedmiot jako należący do królestwa minerałów i postąp z nim w myśl tego pojęcia. Oddaj go ziemi; w niej jego części składowe rozłożą się na pierwiastki, z których powstały i odżyją w innej postaci, częścią unosząc się gazami w powietrzu, częścią pozostając w niej jako węgiel, wapno, żelazo... bo jak wiesz, nie w naturze nie ginie, tylko się przetwarza.

— Masz słuszość mistrzu — odrzekł zadowolony Kryształek — ale jeżeli oddam je morzu, to na jedno wyjdzie; w wodzie przemiany odbywają się tak samo, jak w ziemi. Niechże ryby morza otaczającego Atlantę, zakosztują wytworności stołu cesarza chińskiego!

I przystąpiwszy do okna wychodzącego na morze, otworzył puszkę i całą jej zawartość wysypał.

Chińskie przysmaki przywiodły mi na pamięć wielkiego Konfucjusza. Wróciwszy do swej wieży, zapaliłem trójramienny świecznik, rozłożyłem jego księgi filozoficzne i zacząłem czytać, bo znam język chiński, ale nie mogłem długo na miejscu wysiedzieć. Po dniu upalnym, parno było, i powietrze przesycone elektrycznością, zapowiadało w nocy burzę. Wyszedłem na balkon zwieszony nad morską otchłanią, i oddychałem z rozkoszą chłodem wiejącym od wody. Noc była piękna, prawdziwa noc czerwcowa, gwiazd pełna, blasków i świateł, a lekkie, miarowe uderzenia fal o mury pałacu, sprawiały cichy, melodyjny szmer usposabiający do marzeń i rozmyślań. Wsłuchując się w tę łagodną melodię, usłyszałem jakieś dźwięki oddalone, niepochwytne i gdy myślałem że to może złudzenie wyobraźni, dźwięki te przybliżające się widocznie, stały się wyraźniejsze i mogłem je już nie tylko uchem pochwycić, ale i rozróżnić. Była to znana mi pieśń śpiewana głosem pięknym, silnym jeszcze, ale starganym; słyszałem ją już raz od Jagódki.

„Znasz-li ten kraj, gdzie możny dwór i chata,  
W podróznym gościu bliźniego widzi brata;  
Gościnnie go u swego sadza stołu,  
Chlebem i słowem dzieląc się z nim pospołu?  
Gdzie nawet domu odwieczny stary wróg,  
Bezpiecznym jest, kiedy przestąpi próg?  
Znasz-li ten kraj?”

Wychyliłem się z balkonu chcąc dojrzeć niewidzialnego śpiewaka, i zobaczyłem zdala sylwetkę łodzi rysującej się jasno przy świetle księżyca i posłyszałem plusk wiosel kierujących łódź w stronę balkonu. Człowiek znajdujący się w łodzi zatrzymał ją, wyprostował się i zobaczyłem teraz że był wysokiego wzrostu i bardzo szczupły, ale twarzy jego dojrzeć nie mogłem.

— Mistrzu — przemówił głosem smutnym i przenikającym, który miał akcent cudzoziemski — powiadają że nie przed tobą nie jest skryte; że znasz rzeczy przeszłe i przyszłe... a są nawet co mówią, żeś człowiek nie dzisiejszy, i że byłeś

obecny narodzinom i upadkom narodów, które oddawna już zniknęły z powierzchni ziemi... Nie wiem ile w tem jest prawdy a ile legendy, ale przecucie mi mówi, że masz serce głęboko czujące i współczucie dla tych co cierpią... Czy zechcesz odpowiedzieć mi na dwa pytania?

— Nie omyliłeś się dobry człowieku — odrzekłem — pytaj mnie o co chcesz, a jeżeli tylko odpowiedź będzie w mej mocy, odpowiem ci.

— A więc mistrzu, powiedz mi najprzód, czy sprawiedliwość zawsze dosięga tych, którzy krzywdzą niewinnych?

— Zawsze, tylko czasem długo czekać na nią trzeba. Bóg w swej mądrości ustanowił prawa niezmiennie: losy ludzi i ludów są jak owo słońce, które naprzemian wschodzi i zachodzi. W życiu jednych i drugich bywają długie noce i zorze świtania. Zeschłе drzewo upada i rozsypuje się w proch, ale z korzenia jego nowe strzelają pędy i wyrastają znowu w drzewa wysokie, piękne i rozłożyste.

— Mistrzu, a czy człowiek tak nieszczęśliwy, że utracił wszystko co kochał, a tak nędzny że z bólu odrętwiał i zapomniał się nawet modlić, może mieć nadzieję że dla niego jeszcze kiedyś nowy dzień zaświta, że ujrzy nareszcie to za czem tęskni, i czego złudne obrazy widuje we śnie i na jawie? Czy Bóg, którego przestał nazywać ojcem, nie zapomniał o nim, i widzi go jeszcze z wysokości niebios? Ale ty mistrzu może nie wiesz co tęsknota!

— Przyjacielu — odrzekłem głęboko poruszony — gdy byłem w Indyach wschodnich, wyczytałem raz na liściu palmowym następujące wyrazy:

„Gdyby w najciemniejszą noc, najczarniejsza mrówka chodziła po czarnym marmurze, Bógby ją dojrzał i posłyszał szmer jej łapek”.

— Dziękuję ci mistrzu — odpowiedział głosem, w którym zdawało mi się że słyszę tłumione łkanie, ale to może było tylko złudzenie.

Potem nastąpiła chwila ciszy i posłyszałem znowu plusk wiosel oddalającej się łodzi i dźwięki pieśni ginącej w oddale. Słowa tego człowieka, jego głos, ciągle mi brzmiały w uszach. Jakie były koleje jego życia? kto on jest? Może przyszłość rozjaśni tę zagadkę!

*Abrakadabrus.*

**Redakcyja Wieczorów Rodzinnych do królewicza Zielonki.**

Wasza Królewiczowska Mości!

W myśl wysokiego pozwolenia, posyłamy skrzynię z wypracowaniami konkursowemi, oczekując wyroku oraz dalszych co do nagrodzonego autora lub autorki rozporządzeń o sposobie otrzymania nagrody, to jest dostania się na wyspę Atlantę.

Waszój Królewiczowskiej Mości oddana i wdzięczna  
*Redakcyja.*

Warszawa dnia 24 Czerwca 1890 r.

**Abrakadabrus do Redakcyi Wieczorów Rodzinnych.**

Różany gaj dnia 1 Lipca 1890 r.

Szanowna Redakcyo.

Skrzynię z wypracowaniami konkursowemi przywiezioną do Różanego gaju, królewicz do Marmurów góry odesłał, prosząc abym ją otworzył, przejrzał i rozsortował, oddzielając te, które ubiegać się o nagrodę nie mogą, z powodu braku sensu lub zupełnej nieznanomości ortografii, od lepszych, odznaczających się jakimikolwiek zaletami.

Już sam widok skrzyni wzbudził we mnie obawę, że na dni kilka będę musiał pożegnać się z memi ulubionymi księgami, tak wielka zawiera się w niej dla mnie praca. Jakoż nie omyliłem się: spędziłem nad rozpatrywaniem wypracowań trzy dni i trzy noce, bo taką mam naturę, że nie lubię nic na później odkładać, zwłaszcza gdy rzecz jest pilna, a rozsądzenie konkursu uważałem właśnie za taką. Kwiaty wiosenne już przekwitły, trzeba się spieszyć zanim letnie łetnie pójdą w ich ślady. Im prędzej nagrodzony korespondent czy korespondentka przybędzie na Atlantę, tem lepiej dla czytelników *Wieczorów* w rodzinnych. Spieszyłem się więc ile mogłem, i czwartego dnia rano, odrzuciwszy po pracowitem rozpatrzeniu dzieł wieść dziesiątych części, resztę włożyłem w duży worek skórzany,



i zarzuciwszy na mego starego muła, ruszyłem do Różanego gaju.

Tam w sali powojów, używaną do wszystkich uroczystych posiedzeń, odbył się sąd konkursowy. Przy stole okrytym purpurą, zasiadło nas troje: królewicz, królewiczowa i ja; z woli królewicza głos mój miał być rozstrzygającym, na wypadek sprzeczności zdań. Rozpoczęło się czytanie, a raczej tłumaczenie przezemnie nadesłanych utworów na język atlantyjski. Królewicz słuchał cierpliwie, nareszcie po kilku godzinach rzekł z widocznym znużeniem.

— Kochany mistrzu, zdaje mi się że moje dobre chęci dla Wieczorów rodzinnych skończą się na niczem. Wypracowania które przeczytałeś są dobre, są nawet bardzo dobre, pisane i obmyślane starannie, ale to nie to czego chciałem: ani jedno nie jest godne wysokiej nagrody jaką przeznaczyłem. Ja chciałem miłości dla świata roślinnego, a tej nigdzie nie widzę! Niech je Redakcyja nagrodzi od siebie, bo niewątpliwie wiele z nich zasługuje na odznaczenie, ale ja nie mogę... Ile tam jeszcze pozostało?

— Jedno tylko, z godłem Czarnego sokoła.

— Czytaj mistrzu.

Rozwinałem arkusik i zaledwie przeczytałem kilka początkowych wierszy, zauważyłem że królewicz słucha z wyrażnemi oznakami zadowolenia. Niewiadomy autor czy autorka, opisywał zwykłe polne stokrotki, zwane także margerytkami, krótko, treściwie, po prostu, bez wszelkiej deklamacyi i sztucznego zapału, opisywał w sposób który dowodził, że piszący umie patrzeć na kwiaty, że rozumie ich naturę, że je kocha. chociaż tego nie mówi. Przebijało to w każdej myśli, w każdym niemal wyrazie. Opis zakończony był następującymi słowami:

„Jednym z warunków konkursu było, aby stający do niego objaśnić „dla czego kwiat opisany przenosi nad inne”. Wolałbym o tem zamilczeć, ale skoro to jest konieczne wymagane, muszę powiedzieć, czemu niepozorne, bezwonne stokrotki przenoszą nad najwspanialsze kwiaty. Mateczka moja lubiła je bardzo, więc zbierałem je dla niej często, póki żyła, a teraz noszę je na jej grób. Jak te kwiatki blade i niepozorne, nie miała i ona w sobie nic bijącego w oczy, ale miała serce bardzo szlachetne i bardzo kochające. Cicha była, łagodna, blada i wiele cierpiała. Zanim odemnie odeszła, mówiła mi że duch jej czuwać będzie nademną, i myśl ta nie odstępowała mi nigdy. Cokolwiekbyś czynię, pytam się zawsze swego sumienia, czyby się to podobało mej mateczce, a gdy widzę wychylające się z trawy stokrotki, zdaje mi się że to ona spogląda na mnie swemi smutnemi, łagodnemi oczyma, i mówi: Jestem synku, jestem!”

W tem miejscu były na papierze dwie małe, okrągłe plamki.

Królewicz, który wcześniej stracił matkę, wzruszony był tem prostym wyznaniem i odezwał się.

— Ten chłopiec ma serce i kocha kwiaty. Czy nikt z was niema nic przeciwko temu, żeby mu przysądzić nagrodę?

— Ja nie — odrzekła Jagódka z wilgotnemi oczyma.

— Ani ja — dodałem także. — Oto jest koperta z godłem Czarnego sokoła.

Królewicz otworzył ją i przeczytał głośno

*Janek sierota z Dębowej Woli.*

I zwracając się do mnie, rzekł:

— Napisz mistrzu do Redakcyi Wieczorów rodzinnych o rezultacie sądu konkursowego. Niechaj nam przysła Janka sierotę.

Spełniając życzenie królewicza, zwracam zarazem pozostałe rękopisma z nierozpieczętowanymi kopertami zawierającymi nazwiska autorów, do dalszego postąpienia z niemi, wedle uznania Redakcyi. Za tydzień, licząc od daty ogłoszenia rezultatu konkursu, majtek niemowa przybędzie do Redakcyi

dla zabrania z sobą nagrodzonego młodzieńca, któremu cały skład sądu konkursowego przesyła niniejszem powinszowanie. W jednym z najbliższych portów morskich, którego nazwiska nie wolno mi wymienić, stoi na kotwicy okręt atlantyjski, Narcyz — a królewicz przesłał mu już rozkaz zabrania na pokład młodego podróżnika i traktowania go z odpowiedniemi godności posła względami.

*Abrakadabrus.*

## Sprawozdanie z konkursu botanicznego.

Skoro królewicz Zielonko Jankowi sierocie przed wszystkimi przyznał pierwszeństwo i jego osądził godnym podróży na wyspę Atlanty, imy także czujemy się w prawie zabrać głos by oddać należne pochwały tym z pomiędzy naszych czytelników, których wypracowania nadesłane na konkurs wyróżniają się od innych bogatszą treścią, lub staranniejszem jej obrobieniem. Przedmiot za temat do wypracowań służący, tak blisko z jedną stroną graniczy z poezją, że lotniejszym wyobraźniom nastroczał sposobność wkroczenia w granice świata fantazyi, z drugiejż znów tyle ma styczności z nauką, że trudno go obrobić nie posiadając pewnych wiadomości z zakresu botaniki. Zadanie więc było niełatwe, choć wdzięczne, a z pomiędzy wszystkich najlepší mu sprostała *Carmen*, która jeżeli nie jest już „staruszką”, to bezwarunkowo na pierwszą nagrodę zasługuje. O ulubionym kwiecie swoim, o róży, wie *Carmen* tyle pięknych podań i bajek tak swojskich, jak obcych, tak zna budowę, naturę, użyteczność, wdzięki, oraz znaczenie jej w symbolice, że powtarzamy, po Janku sierocie praca jej za najlepszą uznana być może. Tegoż samego rodzaju zaletami odznacza się wypracowanie 13 letniej *Białonóżki z pod Karpat*, miłośniczki niezapominajek. *Sosenka* słuszną zrobiwszy uwagę, że kwiaty umiliwszy życie człowieka, częstokroć i do mogiły z nim idą, ślicznie opisała stokrotkę, przytaczając poetyczne o niej ludu podanie. *Halka z Litwy* nad inne kwiaty przenosi bratek, którego widok do bujania pobudza jej fantazyę i tyle pięknych, szlachetnych nasuwa jej myśli, tyle wzniosłych uczuć budzi w jej młodem serduszk... Dwie 14 letnie: *Dziwanna* i *Królowa Wrózek* jeden mają powód do wyłącznego umiłowania, ta konwalii, tamta dziwanny, od której pseudonim sobie wzięła. Powód to zaszczyt im przynoszący, a serdeczny Janek sierota pierwszy bezwzględnie przykłaśnie wiadomości, że tym jego siostrzyczkom, miłującym kwiaty przez pamięć dla matek swoich, nagroda się słuszenie należy.

Należy się także 14 letniej *Grażynie*, która dała bardzo dokładny i niepozabawiony poczuć poezyi opis lilii białej. 14 letni *Poranek majowy* nie wiele się zajmuje budową bławatki, ale widoczną jest rzeczą, że go „przekłada nad kaktusy agawy, datury, bo wyrósł wśród kłosów, co od dawna zdoła nasze łany”. Inny jeszcze skromny kwiatek: powój polny, znalazł wcale wymowną chwaleczynię w 12 letniej *Białej Ostróżce*. Pochwały też godne są bławatka i powoju rzeczniczki. Pierwiosnek i w ogóle świat roślinny pięknie został opisany przez *Tolwidę*. *Niebieska Wstążeczka z nad Noteci* dała dokładny i bardzo wdzięczny opis konwalii. Pochwalić także musimy *Wołodyjowskiego*, który wdzięcznie opisał różę, *Akacyonistę* opisującego wonną akację, Cichą wodę, *Lobelie*, *Trawkę z nad Fryby Zorzę*, *Niezapominajkę z nad Warty*, *Jaskółkę z czerwonej Rusi*, *Rybkę z Hniliopiaty*, *Horpinę Legendę*, *Iskierkę z pod Lublina*, oraz *Gwiazdkę podolską*, dwóch ostatnich ulubiony jest fiołek; *Kukułka* przenosi nad niego stokrotkę. W innych konkursowych pracach czuć szczerą i gorącą miłość dla opisanych roślin, które mniej dobrym wypracowaniom dodaje wartości i czyni je prawdziwego uczucia wyrazem, zasługując przeto na pochwalną wzmiankę. Do takich zaliczamy także wypracowania: *Pamfila*, *Zoroastra*, *Błędnego Ognika*, *Orla tatrzańskiego*, *Baladyny*, *Zawieruchy*, *Cichęj Fali*, *Tęczy z nad Jatrani*, *Jagódki podolskiej*, *Mimozę*, *Pracy*, *Oleńki z pod Ojcowa*, *Niezapominajki z nad Łydyńi*, *Wiewióreczkę*



inflantskiej. Wreszcie dawna nasza korespondentka Filaretka biała, jakkolwiek pracę swą zapóźno przysłała, należy jej się przecież słusznie zaszczytna także wzmianka.

## ELLAM.

Legenda arabska.



o a to co? — rzekłem do mego przewodnika, ukazując mu głaz mchem porośły mający niezgrabne kształty konia.

— To „Ellam”.

— Ellam?! co to ma znaczyć?...

— O! to cała legenda — odparł stary beduin. — Chcecie to ja wam opowiem — niedługa jest. Tymczasem odpocznę nieco wierzchowce.

Przystąpiłem z chęcią na tę propozycję; i ja z przyjemnością myślałem o spoczynku po całym dniu spędzonym na siodle, przy zwiedzaniu ciekawych a nieznanych mi jeszcze stron. To też za chwilę obaj już byliśmy na ziemi. Konie,

wolno puszczone rżały radośnie, grzebiąc piasek, a zachodzące krwawe słońce grało gorącymi tonami w żółtogniadęj ich maści. Byłem w Arabii.

Rozległa jak żółte morze piasku pustynia, rozciągała się przed nami, złaczona gdzieś w dali, na horyzoncie, z jaskrawą purpurą zachodu, i gdzieś tam tylko wzdymała pierś ławicami pooranymi jak fale oceanu, zachodnim wiatrem. Za mną na jasnym tle piasku rysowały się uroczo kontury malowniczej Bejki, i gorzały od słońca szczyty wysmukłych wieżyczek meczetów. Upał dzienny ustawał zwolna. Czasami cichy wschodni podmuch, przynosił od strony oazy, woń róż i nocnej rosy. Ustały nawet wycia szakali i cisza niczem niezamącona, przedwieczorna cisza, znana tylko mieszkańcom pustyni, zalegała zda się cały przestwór...

W milczeniu podziwiałem dziki i cudowny zarazem kraj — obraz jaki miałem przed oczami, a tymczasem towarzyszył mi krzyżował już nogi, sadowiać się wygodnie, gdy doszły nas od strony miasta słabe płaczliwe dźwięki. W pierwszej chwili nie wiedziałem co one mają znaczyć, wymowny jednak ruch mego przewodnika objaśnił mi dostatecznie.

Beduin rozesłał spiesźnie na ziemi swą chustkę, zrzucił z nóg obuwie, ukląkł, wznosił w górę ogorzone dłonie, a utkwivszy ciemne oczy w lazurowe niebo, zaczął się kiwać nabożnie szepcząc:

Allah il Ullah en Mohamet nessul Ullah!...

To z wież minaretów muezzin nawołuje do modlitwy pobożnych wyznawców proroka.

Potem biała postać starca nachyliła się ku ziemi i cicho ale napiętnie powtarzał: Alla, Alla il Ulla... I znów słaby głos ten nikt w obszarze pustyni i nastała cisza. Słońce tylko coraz więcej kryło swą krwawą tarczę za widnokrąg, a wiatr wschodni dolatywał coraz świeższy... wonniejszy.

W chwilę potem obaj już siedzieliśmy pod głazem; mój przewodnik zapaliwszy nieodstępne swe nargile, przebierając paciorki bursztynowego różańca, tak zaczął:

— Dawno, bo już ze sto lat temu, żył tu w okolicach Bejko, beduin Selim. Selim był młodym i pięknym synem pustyni, ale mimo to nie miał szczęścia, był mściwym i gwałtownym, stroniono więc od niego bojąc się mu narazić. Mówiono że ma w sobie złego ducha, nigdzie też nie miał własnego domu, żył z dnia na dzień. Dziś rozpiął namiot w oazie, inne-

go dnia w samej głębi suchej puszczy, tam gdzie i struś nie wytrzyma dla skwaru i pustkowi. A trudnił się ot, jakby niczem, przez długi czas przynajmniej póki był sam jeden. Całym, jedynym jego majątkiem, i najwierniejszym przyjacielem był koń Ellam. Ale też nie jeden Arab patrzył na niego pożądliwem okiem.

Drugiego takiego konia nie było w całej Arabii. Mówiono że zrodziły go wiatry wschodnie, tak był delikatnie zbudowany i rączy, a wzrok miał, że niczem strusie. Był biały jak szata proroka, zaróżowiona w faldach jutrenką, tak że każda żyłka odznaczała się siną nitką na tęt cudownej białości. W biegu, cieniutkimi nogami niedotykał prawie ziemi, a małą głowę skoro czuł na grzbiecie pana, nosił tak dumnie jakby ten co najmniej był zastępcą emira. Gdy wyciągnął ciało w galopie, ptakby go niedoścignął, nie też dziwnego że ludzie widząc jak czasem nocą Selim pędził przez puszcze na swym Ellamie, z rozwianym kruczym włosem i iskrzącymi oczyma odwracali odeń twarze, czując nieczystą siłę w koniu i tym człowieku i rzucali za nim trwożliwe: Ur Allah!...

A Selim kochał swego wierzchowca nad życie. Umieeli porozumieć się jednym spojrzeniem, tak już do siebie przywykli, skinięciem ręki nawet. Koń roztwierał szeroko czarne rozumne oczy pojmując wszystkie myśli swego pana. Nie odstępował się też nigdy ani na chwilę. Lecz przyszedł czas że i Selimowi znudziła się samotność. Postanowił poszukać sobie towarzyszy życia i nie zwlekał zbyt długo z urzeczywistnieniem swych zamiarów. Pewnej nocy, skoro Samum wraz z huraganem szalał na pustyni, a błyskawice zaćmiewały światło gwiazd i księżyca, uwiózł na swym Ellamie do namiotu wśród puszczy, cudnej urody Zairę, córkę bogatego Fellaha z pod Bejki. Próżne były pościgi i próżne szukania, Selim wiedział jak głęboko kryć trzeba swą gołębicę aby jej nie znalaziono.

Ale teraz ze szczęściem przyszła i nowa troska. Dotąd nie starał się nigdy dla siebie o pożywienie, żył byle czem zresztą. Teraz zaś w namiocie czekała nań żona, przywykła w domu do wygod i dostatku. Zabrał więc kilkunastu towarzyszy i zaczął napadać karawany. Szło mu to zręcznie i korzystnie. Znał doskonale pustynię, łatwo przeto wprowadzał tabor na złe drogi, łupił towary i sprzedawał je potem.

I w ten sposób żył długo.

Skoro wracał wieczorem do namiotu, witała go piękna Zaira i mały synek Bejram ulubieniec ojca, a w głębi za kotarą odzywała się najmłodsza dziecina.

Wówczas dawał im bogate podarunki, pieścił się z nimi i był tak szczęśliwy jakgdyby nie pamiętał i nie przeżył tych czasów kiedy głucha pustynia zastępowała mu domowe ognisko, a blizkie sąsiedztwo lwów i tygrysów całą rodzinę.

A Ellam jakby pojmując szczęście pana, poruszał radośnie nozdrzami i cieszył się z nim razem. Było tak dopóki nie spotkało Selima nieszczęście.

Od dawna już okoliczny szejik, dowiedziawszy się o rabunkach i napadach na karawany, czynił gorliwe poszukiwania rozbójników.

Chwilami był już na tropie, zawsze przecież, dzięki swemu sprytowi i rącości konia, Selim potrafił wydobyć się z zasadki. Ale jednego razu wieczorem, gdy powracał z łupami do domu, oddział żołnierzy wysunął się z za wydmy znieścacka, i pochwycił wszystkich. Myśleć o ucieczce było zapóźno. W chwilę więc potem niepokonany beduin, skrepowany, postępowal pieszo ku miastu, otoczony w około czujną strażą.

Do miasta jednak było dość daleko, a że noc zapadała iman wydał rozkaz rozłożenia się na nocleg w pustyni.

Ustawiono namioty w dwóch punktach. W jednym, umieszczono pod dozorem towarzyszy Selima, oraz w zagrodzie naprędce postawionej wszystkie zabrane konie; nieco dalej zaś, pośród namiotów czujnej straży i obok imana, jego samego, jako głównego naczelnika szajki. Przedtem nie zapomniano oświadczyć im wszystkim, iż jutro o świcie już żyć nie będą.

Zwolna nadeszła noc.

Rozpalone ogniska gasły jedne po drugich, długi czas





SZMEKS.



warta czuwała, będąc jednak strudzoną po kilkodniowych poszukiwaniach na skwarze pustyni, pokładła się dla pewności naokoło namiotów i usnęła. Selim skrępowany leżał w pośrodku twarzą zwrócony ku niebu, myślał i cierpiał.

Cisza zaległa obóz, nad nim tylko jakby litując się mrugały złote gwiazdy i lśnił jasny sierp miesiąca, patrzył też na nie swym ognistym wzrokiem, jakby szukając ratunku, lecz nadaremnie!... Wyteżył wszystkie siły, aż żyły nabrały mu krwi na skroniach, chcąc zerwać kłępujące go więzy, próżno! Węzły pozaciskały się mocniej jeszcze, liny wżarły w ciało i nic więcej.

Niema ratunku! myślał beduin — ostatnią noc już oglądam blade miesiące i gwiazdy. O Allah! litości!...

Potem przyszedł mu na myśl ten duży w czarne pasy namiot w głębi pustyni, co jak ciemna sylwetka rysuje się zdala na tle piasku, gdy doń w wieczór powraca, i przyszła mu na myśl uroczą postać żony, co z czarwonym uśmiechem zarzuca mu na szyję ręce przy powitaniu... a potem dzieci i nieodstępny wierny przyjaciel...

— O wierny towarzyszu! gdzie jesteś, że cię przy mnie nie widzę?... Ale i ty Ellamie nie powrócisz już do domu i nie zobaczysz cię więcej dzieci moje, z którymi tak lubiłeś się bawić, a mały Bejram nie wyciągnie jak dawniej do ciebie swych ciemnych rączek, kiedy przez otwór w namiocie wsuwał się doń łabędzią szyję i różowymi nozdrzami, ostrożnie, pieczołotliwie muskał ciemną jego główkę... Teraz, mię oczekują tam pewnie. Zona przygotowuje wczeszerę i co chwila odchyła płótno patrząc, czy nie nadjeżdżam. Dzieci bawią się na lwiej skórze, a Bejram zadziwia matkę coraz to nowym dowcipem... Tak, zdaje mi się że widzę to wszystko, że patrzę na to... I Selim błędnie oczyma patrzy w niebo i chwilami wspomina „przeznaczenie”. Jako wierny wyznawca proroka szuka ulgi w hymnie koranu ale nie całkiem ją znajduje, nie może prawdy nieprzyznać, i szepcze z boleścią: O ciężkie przeznaczenie! O świecie już ma umierać, a do świtu tak już niedaleko!... Przy tych myślach czas szybko ulatuje. Tylko patrzeć jak niebo zaróżowi jutrzienka...

Machinalnie usta mu drgają: Allah il Ullach en Mahomet ressul Ullach! Ale cóż to? Zdala dochodzi go głos jakiś, słaby wprawdzie bardzo, ale jakby rzenie konia, zda się zbliżać, rzenie wyraźne...

— O, to Ellam! Doskonale przecież go poznaje — Ellam...

Arab z rozkoszą słuch wyteża, jakby zapomniał teraz o świecie całym, drży na głos ulubionego konia. Lecz znów cicho, rzenie rozwiało się w przestworzu.

Leży chwilę nad słuchując jeszcze, aż nagle znów jakiś szmer dolatuje mu do uszu, zdaje się nawet iż widzi coś w ciemności swym bystrym wzrokiem, cień jakiś. Cień zwolna, jakby ostrożnie przysuwa się, powiększa, wreszcie można go już rozpoznać. Tamuje oddech. To Ellam skrada się ku niemu. Cienkie swe nogi zaledwie że stawia na piasku. Jest już blisko. Ale w okolo niego leży straż śpiąca. O! gdyby mógł jeszcze po raz ostatni pogłaskać przyjaciela i spojrzeć mu w rozumne oczy. Raz jeden!...

Koń tymczasem zbliża się do śpiących i zwolna, jak najlżej postępuje przez żywy ten łańcuch. Teraz jest już przy swym panu. Z radością obwąchuje mu twarz, ubranie, a potem nozdrzami delikatnie dotyka więzów. Na piersi jest wielki węzeł. W oka mgnieniu chwyta go silnie zębami przemienia się wśród warty i namiotów i cwałem z drogim ciężarem niknie w cieniu nocy...

Na horyzoncie poczyna się rozwidniać.

Różowe brzaski padają na żółte piaski i zdziwione spoglądają na ruch jaki panuje pośród rozstawionych namiotów.

Gwar, nawoływania i groźby nie ustają, a na wszystkie strony na dzielnych rumakach rozbiegają się pościgi. Ale darmo! Nieczyste duchy wyrwały im z rąk swego sprzymierzeńca, a z nimi walki niema...

Dzień za to patrzy na smutną chwilę. W głębi puszczy, przed duży namiot w czarne pasy, Ellam składa wybawionego pana...

Jednocześnie siły go widać opuszczają, bo wyciąga swe drobne członki i od czasu do czasu wstrząsają nim przedśmiertne dreszcze. Różowe nozdrza rozdyma gwałtownie a czarnymi oczyma tak tklawie patrzy na klęczącą przy nim całą rodzinę Selima, jak gdyby chciał im powiedzieć:

— Nie smućcie się że was opuszczam, uratowałem mu za to życie!...

Selim w swój rozpacz nie wiedział co czynić. Rwał sobie włosy z głowy i mówił iż Allah niesłusznie go skarał, zabierając takiego przyjaciela!...

To też pochował go potem sam, na miejscu, gdzie stały namioty, z pośród których przez niego wybawionym został, a głazowi temu nadał kształty konia...

Za bluźnierstwo wszakże skarał go Allah, dzuma zabrała mu żonę i dzieci... To też mszcząc się na przeznaczeniu dobrał sobie aż stu Beduinów i robili dalej napady na karawany. Dopiero po trzydziestu latach został schwyty i strzała przeszła mu pierś, oto przy tym głazie, gdzie zwykł był co wieczór siadywać i rozmyślać nad straconym towarzyszem.

Skończywszy swe opowiadanie, mój towarzysz zagasił nargile, wsunął do kieszeni różaniec, powstał i zwrócony ku wschodowi znów począł szeptać nabożnie pacierze.

Niedługo potem siedzieliśmy na koniach, które choć niedorównywały Ellamowi, mogły przecież zachwycić niejednego znawcę i amatora swą przepyszną budową. Wracaliśmy w stronę Bejki. Noc tymczasem zaległa pustynię. Gwiazdy zapalały na pogodnym lazurze nieba swe światelka, a blade sierp księżyca odbijał się w lśniących złotych miesiącach na smukłych wieżach minaretów.

Ożywcze wschodnie podmuchy, chłodziły mi skronie przywodząc na myśl swą wioną, moje ojczyste ogrody w miesiącu czerwcu, a po falach piasku od czasu do czasu rozlegał się płaczliwy głos Muezzina:

Allah jest wielki!... a Mahomet jest jego prorokiem.

Cairo.

## SZMEKS.

Niejedna i niejednen z czytelników naszych pozna zapewne z dzisiejszej rycinki i przypomni sobie miejscowość, w której tak mile a chyżo zbiega część krótkich chwil wakacyjnych, wśród wspaniałej okolicy górskiej, po węgierskiej stronie Tatr. Jest to Szmeks wraz z częstką wyżyn, wśród których się on usadowił, niby dziki zajac w kotlinie. Miasteczko to leżące w ziemi Spiskiej stało się niezmiernie licznie odwiedzane, jako główny punkt, z którego można najwygodniej przedsiębrać wycieczki do wszystkich najbardziej zajmujących miejscowości, w okolicznych górach. Wziętość Szmeksu, datuje się jednakże dopiero odkąd założone na ten cel stowarzyszenie, zajęło się ułatwieniem podróży i uprzyjemnieniem pobytu ciekawym podróżującym w górach Karpackich. W pobliżu Szmeksu znajduje się słynna grota lodowa, i tędy też idzie droga do ślicznych i wspaniałych Pięciostawów; tuż za Szmeksem pod górą Grzebiec jest szalaś Róży, doskonałe schronisko i wyborny punkt do rozglądania się w pięknościach okolicy. Ponad huczącymi wodospadami widać ztamtąd Łomnicę, Średni Wierch, Szczyty Sławkowskie, i całą prześliczną dolinę Spizkiej ziemi. Gdy zaś dzień jest bardzo pogodny, widać nawet Białą Węgierkę, Mały Sławków, Wielką Łomnicę, Kezmark, wraz z otoczeniem.

Nie mówiąc już o tem, ile zyskuje zdrowie przy zwiedzaniu górskich okolic, sam wpływ wspaniałych tego rodzaju widoków na uszlachetnienie ducha, usiłującego zawsze mimo własnej wiedzy dostrajać się do swego otoczenia, dostatecznym jest magnesem pociągającym na wyżyny każdego, kto tylko oderwać się może chwilowo bodaj, od zwykłych warunków codziennego życia.



# W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

W dziesięć minut później cisza bezdenna panowała w lasu, księżyc uśmiechał się srebrzystym uśmiechem do cudnie strojnej przyrody, prócz zdeptanych lekko bosemi stopami zarośli, nie było innych śladów okropnych scen ponad rzeczką: krokodylę po dość skąpem śniadaniu, wracały do swoich kryjówek...

— Spieszmy, póki księżyc w pełni jest na niebie — powiedział Mahora.

Z cobyżością o jakiej europejscy kucharze żadnego nie mają wyobrażenia, trzej Indianie zaimprovizowali w mgnieniu oka kuchnię i rożen, a w chwilę później każdy z obecnych miał przed sobą, bez stołu i nakrycia co prawda, ogromny kawał mięsna, bardzo delikatego istotnie, acz mocno przejętego wonią piżma. Jedzono z głodu, wdychając przytem ciężko.

— Nie grymas! Nie wybredzaj! — wołali jedni na drugich. — Cóż to, czy ci źle jeszcze że się napawasz drogim i modnym w eleganckim świecie zapachem...

— Ach, to prawda; wołałbym jednakże kawałek najpospolitszej niczem wcale nie woniącej wołowiny — odpowiadali skarceni.

— A teraz w drogę!... co prędkiej. Może w lasach znajdziemy cośkolwiek na wety.

## III.

Ruszono w drogę, kierując się ku południowi, oglądając się za każdym krokiem i śledząc okolice, zanim postawiono krok następny; z bronią nabitą, z palcami na cynglach, w ustawicznej gotowości do obrony. A przecież niekiedy trzeba było z konieczności, zamiast strzelby ujmować w rękę kordelas, aby tnąć gęstwinę, torować sobie w niej przejście, niemożliwe bez tego. Po całym dniu drogi wydstawszy się z lasu, ujrano przed sobą rozległą płaszczynę zarośniętą tylko wysoką trawą i krzakami. Na lewo na jasnym tle niebios rysowało się bardzo wyraźnie miasteczko Piuktu.

— Ukryjmy się i zatrzymajmy tutaj — rzekł Thorn. — Niech Mahora, Wilko, i Rahib idą do Piuktu po zapasy i wiadomości, i wracają do nas coperędkiej.

— Zostawmy broń, a wyglądać będziemy na tulających się bez naszch panów — poradził Mahora i otrzymawszy pieniądze na zakupy, wszyscy trzej zniknęli w wysokich trawach. Thorn milczał chwilę po ich odejściu, dopiero gdy towarzysze usunęli się trochę, pokładłszy do chwilowego spoczynku, rzekł w odpowiedzi na zdziwione spojrzenia Mac'Ulma:

— Sam tak radziłem, ale któż wie, czy nie omyliłem się, czy nie za pospiesznie postanowiliśmy udać się na wybrzeże morskie... Przypomnij sobie co mówił jeden ze służących w chwili pierwszego popłochu, że napaść jest głównie skierowana przeciw mnie jako dostawcy armii, a nuż powstanie jest tylko miejscowem i my niepotrzebnie puszczamy się w podróż?... a ja pociągam was...

— Niesłusznie wahasz się przyjacielu. Jeżeliby nawet powstanie było wczoraj miejscowem, i zaczęło się w naszej okolicy od ciebie, to niemylnie ogólnem jest w zasadzie i dzisiaj już rozprzestrzeniło się dalej, jak pożar. Zresztą mieszkania i posiadłości nasze są zniszczone, nie mamy tu nigdzie bezpiecznego schronienia. O prowadzeniu dalszem mego handlu i twojej dostawy, niema co myśleć w takich okolicznościach. Nakoniec, głównym celem naszym obecnie jest, dowiedzieć się o losie naszych porwanych dzieci i starać się o ich odebranie złoćyńcom, jakkolwiekbydź najmniejszą mielibyśmy ku temu nadzieję. A przecież tutaj, nie możemy sami nic działać przeciw powstańcom, nie mając żadnej ku temu możliwości; musimy zatem szukać pomocy i po to właśnie idziemy na wybrzeża. Wszak sam tak powiedziałeś, i słusznie: tak czy nie?

— No... tak; ale jakoś nie pomyślałem w pierwsz

chwili, o tem że napad mógł być istotnie skierowany głównie przeciw mnie, a was tylko stosunek ze mną w przepaść pociąga...

— Bądź spokojny stary przyjacielu: jeżeli nawet banda, która nas napadła miała na celu tylko ciebie, to nie ulega wątpliwości, że powstanie jest skierowane przeciw wszystkim Anglikom, do których i ja tutaj się przecież zaliczam... John! Harry! A wy co tam robicie? Dla czego wychodzicie z lasu! Po co tam się wspinacie? Czy chcecie aby was zbójcy spostrzegli?...

Ale próżne było wołanie, dosyć przyciszone zresztą przez obawę, aby go ktoś obcy nie słyszał: dwaj najmłodsi służący podsadzając jeden drugiego wspinali się na przepyszne drzewo mangowe, i John wdarłszy się na najniższe gałęzie i zasiadłszy wygodnie wśród gęstwin wspaniałych owoców, nasycił się niemi tak żarłocznie, że prawdopodobnie i strzelania nie słyszałby w tej chwili. Najadłszy się, dopiero począł je rwać i rzucać towarzyszom. Jeszcze wszyscy mocno byli zajęci bardzo smaczniemi owocami, gdy ciche: „Bacność” rozległo się niespodzianie, i wszyscy chwycili za broń, przygotowaną i leżącą pod ręką. To Robert Thorn stojący na straży w danej chwili, ostrzegał towarzyszy, sam bystro wpatrzony i z lufą wycelowaną w stronę mocno poruszającej się ogromnej trawy. Niemily krzyk pawia ozwał się jednocześnie:

— To Mahora! — rzekł Thorn i w chwilę później Mahora, Wilko i Rahib, wybiegli z trawy i zarośli, wpadli do lasu, obladowani żywnością, z szalonymi oznakami radości, ale zawsze zcicha i ostrożnie szepejąc:

— Żyją, żyją, żyją!...

— Zkąd wiecie? kto ich widział? kiedy? kto mówił? Widzieliście ich?

— Pan Wiliam i panna Klara! Żyją żyją!... żyją!...

— Jesteście tego pewni? Widzieliście ich?

— Nie; ale w mieście przyjęto nas jak swoich, nikt nas nie podejrzewał, nie miano powodu w błąd nas wprowadzać, a opowiadano szeroko że banda, która zniszczyła posiadłości i domy Mac'Ulma i Thorna, chociaż chybiła głównego celu, bo nie wymordowała obu tych rodzin, przecieź wzbogaciła się znacznie rabunkiem. Wzbogaci się zaś jeszcze bardziej, gdyż pochwycawszy żywcem dwoje dorosłych młodzieży z tych rodzin, po namyśle, zamiast ich zabić bez pożytku, postanowiła sprzedać handlarzom niewolników, których okręta zjawiają się często w kryjówkach morskich na wybrzeżu. A zatem oni żyją! I żyć będą, bo chciwi rabusie, raz wpadłszy na myśl tak złotodajną, nie łatwo jej się wyrzekną i oszczędzać będą swych niewolników, aby jak najlepiej wyglądali przy sprzedaży! — trzej Indianie nagle, jakby za znową, porzucając na ziemię przyniesione zapasy żywności, rozpoczęli radosny więcej niż na wpół dziki taniec, wywijając nożami jakby nie byli chrześcijanami, i wykrzykując rozgłośnie, ku czemu dopomagał trzask wojenny noża o nóż.

— Żyją, żyją, żyją! Niech żyją!... — Dwaj ojcowie porwanych, spoglądali wzajem na siebie, naokół i na tańczących, byli mocno zakłopotani, wcale nie wiedząc jak przerwać tę zbyt głośną radość, która mogła stać się dla nich niebezpieczną. Słudzy Anglicy z wpół roztwartymi ustami zapomniawszy nawet o smacznych wetach, patrzyli na dziki taniec niedawnych chrześcijan. A wtém najprzód Jerzy Mac'Ulm rozwiązał niespodzianie dziwne położenie, rzucając się na szyję Mahory z okrzykiem:

— Klara żyje!... Niech ci Bóg zapłaci! — prawie jednocześnie, raczej jego ruchem niż słowy popchnięci, skoczyli trzej inni bracia porwanych, na szyję Indian, ściskając ich serdecznie.

— Przyjacielu, ja strażuję tymczasem, nim ty ich uspokoisz — rzekł stary Thorn ocierając oczy i poszedł stanąć na wzgórk, na którym przed chwilą stał Jerzy Mac'Ulm. Thorn na sekundę nigdy nie pozwalał swym towarzyszom pozostawać na miejscu bez straży. Miał to za zasadę. Gdy szli, strażowali wszyscy, ponieważ każdy nie mając innego zajęcia powinien był patrzeć wszędzie naokoło siebie.

— Och, to była dobra nowina, ale my przynosimy także



**Homonim szaradowy.**

Niejeden pierwszy, ciemny, w drugie, trzecie wierzy,  
Choć mu tylko nagana za to się należy.  
Wszystko: podziw i postrach mężstwem wśród walk budzi,  
Albo dźwiękiem i brzękiem, rozwesela ludzi.

**ZAGADKA.**

Kalinie z nad Dniepru i Kwiciarce od Niezapominajki  
z Zacisza.

Pierwszą w rozkoszy, ale nie w nędzy,  
Drugą w niteczce, ale nie w przędzy;  
Możecie znaleźć trzecią w zegarku, nie może być w drzewie,  
Czwartą w Koniecpolu, także w Sochaczewie,  
Piątą przebywa niezmiennie w Nankinie,  
Szóstą szukajcie śmiało w korze i w kotlinie;  
Siódmą możecie mieć na zawołanie,  
W Stasi, Mani, Karolci, a także i w Janie,  
Wszystko jest to tytuł ślicznej powiasteczki  
Którą zapewne czytaliście, drogie panienczki.

**ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go.****Zadania konikowego:**

Wielkie domy za granicą  
A w nich ciasno choć nie ludno.  
U nas mury się nie świecą  
A o kącik nie tak trudno.  
Ledwo człekby czasem wierzył:  
Dom nie wielki, wtem gość wchodzi  
Ot i domek się rozszerzył  
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.

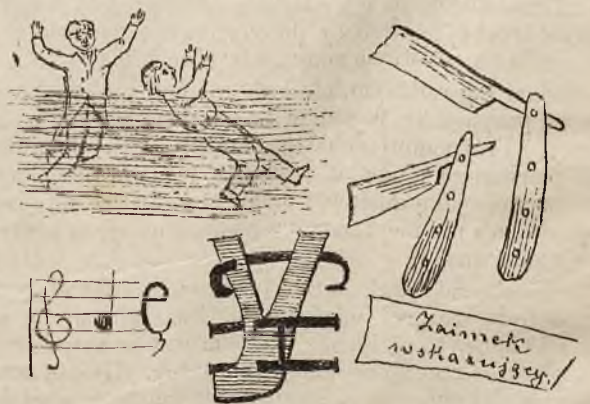
W. Pol.

**Szarady:**

P o d r ó ż e.

**ROZMAITOŚCI.**

**Lalki mówiące.** Fonograf Edisona, o którym mówiliśmy obszerniej, znalazł obecnie zastosowanie, do wyrobu „lalek mówiących”, urzeczywistniających dawne marzenie dzieci. W zakładach sławnego wynalazcy wyrabiają się lalki cynowe, wewnątrz których ukryte są małe fonografy; na każdym zaś takim fonografie utrwalone są wyrazy, wypowiedziane przez młodą dziewczynkę, aby głos posiadał charakter dziecienny. W ten sposób lalki Edisona pozostawiają daleko poza sobą dawne lalki, które wymawiały zaledwie wyrazy tata i mama. opowiadają bowiem całe powiastki, lub nuca piosenki, które na fonografie wypisane zostały. Fonograf wprawia się w ruch urządzeniem mechanicznym, a za pomocą klucza można go na nowo nastawić, to jest sprowadzić ryłec na początek wypisanych na nim ryśów.

**REBUS.**

**TREŚĆ:** W wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Sprawozdanie z konkursu botanicznego, — Ellam, legenda arabska p. Cairo. — Szmeks (z drzew.). — W Indyach. — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Dozwólcie dziatkom przyjsz do mnie, wiersz (z drzew.) — Przygoda nieposłusznej Wańdzy, p. Niezapominajkę z nad Warty. — Zaćmienie słońca. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).





Dozwólcie dziećcom przyjść do mnie...

Dozwólcie dziećcom przyjść do mnie...

Usiadłszy pod figą, co cień rzuca w koło,  
W głębokiej zadumie pochylił Mistrz czoło.  
O ludziach znać duma, za których da życie,  
O Krzyżu, co stanie na Kalwaryi szczycie...  
Wtem gwar się podnosi i dzieci gromada  
Z pieśczętą serdeczną do Mistrza przypada.  
„Odejdźcie!” wołają uczniowie.

Wszak trzeba  
By wytchnął choć chwilę ów tułacz, Pan nieba,  
Co w Ojca królestwie o wszystkim ma pieczę?  
„Odejdźcie!” — Lecz Chrystus łagodnie im rzecze:  
„*Dozwólcie przyjść do mnie dzieciom!*”

Zaiste  
Przyjść wolno każdemu do Niego, kto czyste,  
Dziecięce ma serce, kto prosty i cichy,  
Praw strzegąc Chrystusa, grzesznej nie zna pychy,  
„*Dozwólcie przyjść do mnie dzieciom!*”

O mili!  
Wy dobrym uczynkiem doń idźcie co chwili,  
By kiedyś, gdy ziemskie przeminą już troski  
„Tu przyjdźcie” Gospodarz zawołał was Boski.

T. P.

## Przygoda nieposłusznej Wandzi.

W dużym ogrodzie pod rozłożystym kasztanem  
spora gromadka panienek i chłopczyków siedziała na  
miękiej murawie, zabawiając siężywioną rozmową.

— Czy odpoczęliście już? — zawołała po chwili zrywając się wesoło Wańdzia, której właśnie obchodzono imieniny w gronie mnóstwa dzieci przybyłych z sąsiedztwa.

— Już dawno — zawołały dzieci i wszystkie na raz  
zwawo powstały z siedzenia.

— Więc się bawmy — rzekła Wańdzia — ale w co-  
by się tu bawić — szeptała zamyśliwszy się — a może  
w chowanego?

Zgodzono się chętnie na tę propozycję; Wańdzia  
jako gospodyni domu pierwsza ofiarowała się szukać  
wszystkich, później wyręczyła ją w tem inna panienka.  
Zeszło tak wesoło przeszło godzina.

— A teraz ja się schowam — rzekła Wańdzia —  
ale tak żebyście mnie nie prędko mogli znaleźć i szybko  
pobiegła w głąb ogrodu; tutaj stanęła i poczęła myśleć,  
gdzie można się w istocie tak dobrze schować, wreszcie  
klasnęła w ręczki i pędem pobiegła pod parkan na któ-  
ry się wdrapała, nie zważając że gniecie i brudzi nową  
sukienkę, a co gorzej przestępuje zakaz mamy, która



z ogrodu nie pozwalala wychodzić. Przedostała się na drugą stronę i usiadła na zielonej łące. Słońce już zniżało się ku zachodowi, oświetlając gasnącymi promieniami mnóstwo rosnących tu niezapominajek.

— Ach! żeby tak można narwać tych kwiatków — pomyślała Wańdzia — ale mama niepozwała chodzić po łące, bo tam wilgoć, a szkoda, takie ładne kwiatki i tak ich dużo!

— Ech, wielka rzecz że mama nie pozwala — pomyślała znowu — i po płotach niewolno mi chodzić, a przeszłam i nic mi się nie stało, i pobiegła zrywać kwiatki. Grunt był bagnisty, nóżki Wańdzi lgnęły po kostki.

— „Ach jaka szkaradna żaba!” krzyknęła z przestachem nieposłuszna dziewczynka i zaczęła uciekać, stanęła przy płocie, spojrzała na zabłocone nóżki i zawołała z przestachem:

— Mój Boże pantofelek zgubiłam, co ja pocznę nie-szczęśliwa? Muszę go znaleźć koniecznie, i zmartwiona udała się znowu na łąkę, szukając zguby, ale nie tak łatwo było ją znaleźć, bo pantofelek niewiadomo gdzie uwiązł w błocie. Już ciemno się zrobiło, a biedna Wańdzia płacząc i odgarniając wysoką trawę, która ją kaleczyła w nóżkę, szukała jeszcze pantofelka.

— Ach ja nie-szczęśliwa jakże wrócę do domu — zawołała wybuchając głośnym płaczem; lecz widząc że płacz nic nie pomoże, uspokoiła się wkrótce.

— Ale jaka ja niemądra — pomyślała — szukam pantofelka, jakgdyby podobna go było znaleźć w tej trawie. Już też prawdziwie sama nie wiem co robię!... I biedna Wańdzia nie wiedząc co począć dalej przytuliła się do wysokiej wierzby, ukryła twarz w dłonie i płakała znowu nad swą niedolą.

Tymczasem w domu panowało wielkie zamieszanie. Wszystka służba porożsyłana szukała dziewczynki w każdym zakątku wioski i ogrodu, lecz nikomu na myśl nie przyszło poszukać jej na łące; biedaczka siedziała też długo skulona, drżąc z zimna i ze strachu, gdy wtem usłyszała jakiś szmer niedaleko, poruszyła się szybko trawa i ukazała się jakaś szara postać. Wańdzi włosy stanęły na głowie, zdawało jej się że to rozbójnik idzie ją zamordować. Z krzykiem skoczyła w bok i wpadła w błoto, z którego już wydobyć się nie mogła sama. Szczęściem wieśniak powracający z pola, którego się tak przełękała wydobył ją i zaniósł do domu.

Wszyscy z krzykiem radości skoczyli witać odnalezioną dziewczynkę, lecz nowy niepokój zapanował gdy ją ujrano tak zziębniętą, splakaną i zamoczoną. Zaraz posłano do miasta po lekarza, który przepisał odpowiednie środki, bo odchorować musiała strach i przeziębienie. Gdy przyszła do zdrowia, nie gniewano się na nią za nieposłuszeństwo, bo była już dosyć ukarana, lecz sama raz na zawsze postanowiła słuchać mamy.

*Niezapominajka z nad Warty.*

## ZAĆMIENIE SŁOŃCA.

Kilka tygodni temu gromadka dzieci bawiła się wesoło w ogrodzie, otaczającym parterowy, wiejski dwo-

rek. Najstarsza, dziesięcioletnia Helcia huśtała się wysoko popychana przez młodszą o rok siostrzyczkę Jadzię, sześciolletnią, ciemnowłosą Staś siedział napuszony na samym szczycie drabinki, a mały Janek wyrabiał z pomocą swój niani Marynki smakowite babki z piasku.

— Dosyć, dosyć, w głowie mi się kręci — zawołała Helcia, zeskakując z huśtawki — siadź ty teraz Jadwiniu.

W tej chwili za parkanem dał się słyszeć tętent konia i przed furtką, prowadzącą na drogę stanął posłaniec, powracający z poczty.

— „Wieczory jadą” — zawołali równocześnie Helcia, Jadzia i Staś, poczem porzucając natychmiast zabawę, pobiegli szybko w stronę ganku gdzie rodzice i nauczycielka używali w cieniu miłego wypoczynku po dniu spędzonym pracować. Tylko Janek z Marynką piekli wciąż szare babki, przekładając je w braku rodzenków drobnymi kamyczkami i strojąc na wierzchu różową stórkotką.

Wszyscy na ganku zajęci byli świeżo nadeszłą pocztą, ojciec czytał jedną gazetę, mama drugą, panna Walerya list z domu od rodziców, a na stole leżała koperta w szarym papierze, znana dobrze wszystkim czytelnikom „Wieczorów”. Do tej właśnie zwróciły się dzieci. Helcia ciekawa losów Jadwigi i Elży chwyciła dodatek książkowy z „Szesnastoletnim wojewodą”. Jadzia pogrążyła się w czytaniu dziejów „Szandora”, a Staś zabrał na swą wyłączną własność „Dodatek dla małych dzieci.”

Dokoła zapanowała cisza przerywana tylko szelestem przerzucanych kartek, nagle ojciec zawołał:

— Proszę słuchać, ciekawa wiadomość, we wtorek przypada częściowe zaćmienie słońca, widziane od godziny 9-tęj minut 58 do 12-tęj minut 32. Zdaje mi się, że dzieci nigdy jeszcze nie widziały podobnego zjawiska?

Na słowa ojca pięć par zaciekawionych oczu podniosło się od czytania, a Staś szeroko roztworzył z podziwu duże ciemne źrenice, tłómacząc sobie po swojemu zapowiadane zdarzenie. Słońce się zaćmi, to znaczy zaćmi się, i we wtorek zamiast złotego, promieniejącego krążka, pojawi się na niebie wielka, czarna kula, w którą będzie można wpatrywać się bezkarnie, bez zmrużenia oczu.

Nadzieja tak ciekawego widowiska do tego stopnia zachwyciła Stasię, że pobiegł natychmiast do ogrodu dla udzielenia nowiny Jankowi, Marynce i wszystkim po drodze napotkanym wróblom.

Marynka jednakże inaczej zupełnie przyjęła niespodziewaną wiadomość, gdyż była bardzo bojaźliwego usposobienia i chociaż dziewczynka trzynastoletnia już, lękała się wszystkiego.

— Matko Bosko! — krzyknęła załamując ręce z przestachem — słońce się zaćmi, to będzie ciemno niby w nocy! Ja tam nie pójdę z Jankiem do ogrodu we wtorek, zbłądziłabym jeszcze gdzie między drzewami, w tej ciemnicy.

Uwagi Marynki rzuciły zupełnie nowe światło na myśli Stasia. A więc, ze dnia robi się noc! Sześciolletniego bohatera, który nie lękał się nawet lwa w „Zoologicznym ogrodzie”, gdy raz z ojcem pojechał do Warszawy, nie trwożyła bynajmniej zapowiedziana ciemność, owszem ucieszyła go nawet bardzo, a wiecie dla-



czego? Oto nasz Staś był trochę leniuszkiem i układał sobie zawczasu, że we wtorek lekcji nie będzie, bo nikt przecie nie uczy się pociemku. Zachwyciła go nadzieja całodziennych gonitw po ogrodzie, usnuł nawet w pomyślowej główce wyśmienity plan wyprawy na groszek. Pociemku ogrodnik nie dojrzy go i nie zaskarży przed mamą.

Ale przedostanie się do ulubionych strączków w ciemności, przedstawiało pewną trudność. Przy téj więc sposobności Staś uczynił filozoficzną uwagę, że nie masz prawdziwego szczęścia na świecie, zawsze znajdzie się jakieś ale; nie popsuło mu to jednakże dobrego humoru i biegał po całym domu, oznajmiając wszystkim o zaćmieniu słońca. Przez kilka następnych dni w ciągłym był poruszeniu i zamęczał pannę Waleryę pytaniami, czy słońce, które niema pewnie kalendarza, jak ten co wisi w mamy pokoju, nie zapomni czasem, którego dnia przypada wtorek.

Panna Walerya ręczyła za dobrą pamięć słońca, a uspokojony chłopczyk bawił się wesoło przez cały poniedziałek, usuwając natrętne myśli o zadanym wierszyku i stronce kaligrafii. Sumienie swoje, drażliwe jeszcze trochę, uspokajał uwagą, że noc we dnie to rzecz niezwykła, rzadko się zdarzająca, on sam nic podobnego nie pamiętał i przypuszczał, że wobec tak ważnego i nadzwyczajnego wypadku, panna Walerya zapomni o lekcji, co zresztą nie będzie wielkiem nieszczęściem.

We wtorek rano pokojówka Kasia napróżno kilkakrotnie budziła małego śpiocha, który nie zważając na jej prośby i groźby, odwracał się spokojnie do ściany i zasypiał znów smacznie.

— Stasiu proszę wstać, ja muszę pospieszyć się ze sprzątaniami i iść do ogrodu zbierać truskawek na konfiturę — przekładała Kasia, stojąc przed łóżeczkiem — Staś może myśli, że dziś niedziela? Panienci dawno na lekcji.

— Dziś nie niedziela ale zaćmienie słońca, to wszystko jedno — odrzekł zaspany głos z głębi poduszki.

Dla Stasia rzeczywiście było to wszystko jedno, ponieważ spodziewał się nie mieć lekcji, ale Kasia napróżno usiłowała zrozumieć, jaki związek zachodzi między niedzielą, a zaćmieniem słońca. Przyszła mu jednak we śnie rozsądna uwaga, że nie warto przespać całego zaćmienia, wstał więc i nie marudząc długo z ubraniem, jak to jest zwyczajem wielu dziewczynek, poszedł na śniadanie.

Jadalny pokój zwrócony jest ku wschodowi. Staś więc najpierw spojrział na słońce przez otwarte okno; świeciło jasno jak zwykle, a gorące promienie, muskające chłopczyka po rumianej twarzyczce, zdawały się wyśmiewać jego zdziwioną minę. Zatrwożony trochę zabrał się do śniadania, które niezbyt zachęcająco przedstawiało się jego oczom, mleko wystygło i pływały w nim dwie muchy, a na chlebie z masłem widać było wyraźne ślady pazurków Burasa. Chłopczyk zmarszczył czoło i wykrzywił usta, ale nie narzekał, wiedząc że na to niema rady. „Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi”, mówi przysłowie i słusznie, Staś uważał się za szczęśliwego, że obeszło się bez gorszych następstw

w rodzaju połajania od ojca, lub mamy. Przełknął też prędko parę łyżeczek zimnego mleka i skórkę od chleba, a resztę wspaniałomyślnie ofiarował Burasowi z dodaniem kilku nauk moralnych o poszanowaniu cudzej własności. Następnie raz jeszcze spojrział badawczo na słońce i pobiegł do pokoju panny Waleryi.

(d. n.)

### Zagadka homonim.

Lub w salonie pięknie świeci  
Albo brzydkie snuje sieci.

### Łamigłówka liczbowa.

od Lilijki z nad Wisły dla Sasanki z Włocławka.

Z 8 liter składający się pseudonym poetki polskiej.  
Przestawić litery aby otrzymać:

- 1, 2, 5, lasek.
- 3, 2, 7, zabawa.
- 3, 2, 7, 5, 2, narzędzie gospodarskie.
- 3, 2, 4, 5, 6, 4, 2, ogrodzenie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go.

#### Szarady rebusowej:

W Ł — na. Welna.

#### Łamigłówki:

Obóz — sioło — imię — obraz — łódka.

O s i o ł.

### Skrzynka do listów.

Wiedziałam już dawniej o śmierci téj kochanej, a dziś już pewno bezmiernie szczęśliwej Makolągwy i byłam na nabożeństwie, o którym wspominał **Wróźbiareczko szczęścia**. Te z czytelniczek Wieczorów, które się dowiedzą dopiero z okazji téj korespondencji o zgonie téj najpiękniejszych nadziei dziewczynki, zgasłej tak przedwcześnie, niech westchną aby Bóg pocieszył jej matkę.

Chętnie zadość uczynimy życzeniu **Sikorki**, gdy na jej liścik kolej przyjdzie, tymczasem zaś prosimy nową korespondentkę aby liściki mające iść do druku pisywała na osobnej ćwiartce niż te, które do nas pisze.

Droga Niezapominajko z nad Warty nie ty jedna doznałaś niepowodzenia, któremu zaradzi może dodatkowy przepis w „Ogrodniku polskim” umieszczony. Autor zaleca mianowicie, aby nie dłużej nad kilka lub kilkanaście sekund trzymać świeże kwiaty w benzynie nasyconej naftaliną. Dłużej trzymać zato należy kwiaty o płatkach grubszych, np. lilie białe, które wszakże wiele tracą na piękności, bo ciemnieją i brudnieją, stając się na wpół przezroczystymi. Po wyjęciu z cieczy, kładzie się kwiaty na papierze, albo wiesz na nitce, stosownie do ich budowy. Obchodzić się z nimi trzeba bardzo delikatnie, a płatki, które się pod działaniem cieczy pozlepiały, ostrożnie porodzielać i nadać im naturalną



formę. Kwiaty niebieskie, czerwone i żółte najlepiej kolor zachowują. Raz jeszcze zalecamy wielką ostrożność z ogniem. Listy wasze idą do Gołąbki na wieś; niedługo napisze ona do was.

**Wysepce na Rojście** dziękujemy, że odgadnąć w nas umiała tę szczerą, macierzyńską dla młodocianej rzeszy życzliwość, która każdem słowem naszym powoduje.

**Ewelinkę D.** miło nam powitać w gronie korespondentek. Łamigłówkę z poprawkami wydrukujemy, lecz z powodu nawału tego rodzaju prac, musi ona czekać swojej kolei, z którą dawniejsze nasze czytelniczki dobrze są obeznane.

**W. Em. Mroz.** Adres zmieniliśmy według żądania. Adres Tyg. Ilust.: Krakowskie-Przedmieście, N-r. 15, księgarnia Gebethnera i Wolffa.

**Konst. Kam.** Wypracowanie odebraliśmy i kochanej Firlecie serdecznie dziękujemy za nie, bo radzi jesteśmy aby największa liczba naszych czytelników należała do konkursu.

**Miła Pękata Baryłeczko,** a któżby odmówił przyjęcia takiego sprzętu! Liścik będzie wydrukowany w swojej porze, choć nie nasze to ręce tyle pracowitemi być umieją.

**Kuropatwie z nad Ikopetiu** posłaliśmy numer żądany. Za fotografię należy się będzie kop. 45 z przesyłką.

**Niezapominajka z Zacisza** nie przejrzała widać uważnie 27 numeru naszego Pisemka, w którym ofiara jej była ogłoszoną. Wieczory dochodzić będą pod załączonym adresem.

**Oleńce ze Żmudzi i Przyłaszczce** dziękujemy za przyslaną ofiarę z łałem donosimy, że konkurs już rozsządzony.

Osobne pozdrowienia Gołąbce Wersalskiej i Jarzynie! Ściśkam cię serdecznie, Piosnko ze Słobódki, i proszę o dalsze liściki! Orlatko z nad Sekwany zasyła pozdrowienie Plateczkowi śniegu. Czemu milczyś, Palermitanko? Czy masz jakie wieści od p. O. i p. Anieli P.? Konwalijko różowa! Czemu nie odpisujesz Marylce z Krakowa i mnie, Kulko śniegowo? Litwinko ty moja, czy zechcesz odemnie Litwę pozdrowić, nim do was pofrągnę? Filaretko wreszcie dowiedziałam się kim jesteś! Ściśkam cię od siebie i od twój krewnej Zofii G. *Jaskółka z nad Sekwany.*

Jakaś ty dobra, moja kochana Brzydotko z nad Tamizy, że przesyłałaś mi kilka słówek przez Wieczory. Chciałabym serdecznie poznać cię osobiście. Chociaż nie widziałam obcych krajów, o których wiem z opisu, wolę moją puszczyć. Wierzę że ci tęskno za krajem Różyczko Jerychońska i Jutrzenko. Odpowiedziałam wam dawno, ale na mój liścik widać nie przyszła jeszcze kolej dziękuję wam w nim za pamięć, prosząc o względy nadal. Mnie w Wiezorach wszystko się podoba, a najwięcej powieść: „Pod wpływem błogosławieństwa”. Kochana Gałązko Paproci posyłam ci uściśnienia za liścik; cieszę się że choć starsza, chcesz ze mną korespondować! Czy należysz do konkursu? Odpisz mi szybko. Ściśkam was wszystkie serdecznie. Kochająca *Czarnooka z Puszczy.*

Kochana Brzózko Srebrna. Bardzo mi się podobał twój pseudonym. Gdzie mieszkasz i jak ci na imię? Już przeszło rok, jak czytam „Wieczory”, a dopiero teraz do korespondentek należę. Nie daj długo czekać na odpowiedź życzliwej ci *Jarzębinie.*

Od dawna chciałam cię poznać, droga Wiochno z pod Lublina, nie mając przecież innej sposobności jak przez „Wieczory” których od kilku miesięcy zostałam korespondentką, chociaż równie jak ty liczę się do rzędu staruszek, postanowiłam tą drogą zapukać do twój pamięci. Niegdyś sąsiadowałyśmy z sobą, byłyśmy jednak za małe by móżdż z tego korzystać, dziś, znamy się z opowiadania wspólnych naszych znajomych. 1-go czerwca miałam nadzieję poznać cię w Nałęczowie, ale to mię zawiodło. Pomimo to, jakieś przecucie mi mówi, iż spotkamy się jeszcze kiedyś. Tymczasem przyjm serdeczne uściśnienia i zgadnij kogo kryje owe tajemnicze: *Cairo.*

Kochana Psotnico. Bardzo mię twój pseudonym zaintrygował, gdyż zdaje mi się, że mamy jednakowy charakter wesoły. Napisz mi jak się nazywasz i kto jesteś, gdyż chciałabym się bardzo z tobą zapoznać. Posyłam ci tysiąc całusów twoja *Wesoła Pieszczotka.*

Kochana Pomarańczarko rzymska! Jestem jedną ze starych czytelniczek Wieczorów, lecz dopiero dwa liściki pisałam na które nie mam odpowiedzi. Domyslałam się, iż musisz być bardzo sympatyczną i wesołą panienką. Mnie na imię Olga mam lat 11, i jestem dosyć na swój wiek wysoką szatynką, również bardzo wesołą. Przysyłam ci łamigłówkę, lecz nie wiem, czy będzie wydrukowaną. Napisz mi czy uczysz się grać na fortepianie, bo ja bardzo dużo i nieźle już grywam. Oczekuję z upragnieniem odpowiedzi, nieznana, lecz kochająca cię *Cyganczka z Dobrzelina.*

Chcąc z tobą zawiązać korespondencję drogi Pegazie skrzydlaty, posyłam ci łamigłówkę. Imiona mamy: Jerzy i Zygmunt, mieszkamy w Warszawie, kształcimy się w domu. Odpisz koniecznie przez Wieczory życzliwym *Ikarowi i Gapeuszowi.*

Najserdeczniejsze uściśnienia przesyła Palma: Jedlince, Królewnie salin, a Herkulesowi ukłony.

Wielką sprawił mi przyjemność twój liścik, kochana Zwiuna Wiewióreczko. Mnie także Wanda na imię, mam lat 9 i uczę się w domu. Co ci się najwięcej podobało w naszych kochanych Wiezorach? bo ja z największym zajęciem czytałam Podziemia Barwańskiego zamku i Branki w Jasyrze. Ściśka cię serdecznie *Wiewióreczka infantka.*

Kochana śnieżna Jagódka! Miło mi z tobą korespondować. Czyś należała do konkursu? Gdzie mieszkasz? Ja w Pilźnie w Galicyi, mam cztery siostry. Która powieść w „Wiezorach” najbardziej ci się podobała? Mnie „Branka litewska”. Nie dajże długo czekać na odpowiedź twój nieznanej przyjaciółce *Góralce.*

Kochane siostrzyczki. Już od Nowego Roku pisuję do Wieczorów, a jeszcze żadnego liściku od was nie odebrałam. Chociaż pseudonym mój nie jest zachwycający, ale zdaje mi się, że jego właścicielkę pokochałybyście trochę. Posyłam wam tymczasem tysiąc całusów i proszę o pamięć. *Psotnica.*

Kochana Topolko Srebrna! Wiesz kto jestem, gdyż raz już pisałam do ciebie, lecz widocznie nie zauważyłaś tego, bo nie otrzymałam odpowiedzi. Jeżeli chcesz, a rodzice twój pozwolą, to oprócz korespondencji w Wiezorach mogłybyśmy pisywać do siebie przez pocztę dłuższe listy. Przysłałabym ci wtedy adres mój przez Redakcję. Całuję cię po tysiąc razy: *Topolka z nad Kodemny.*

Kochana Ukrainko na Mazowszu! Z nieśmiałością piszę do ciebie, bojąc się czy mi aby odpiszesz, gdyż jesteś o wiele starszą odemnie. Wiem, że ci na imię Anna, nazywają cię Nućcią, czy tak? Książd S. z D. przesyła ci ukłony. Przyjmij też milion całusów od nieznanej *Niezapominajki z nad Warty.*

Kochana biała Perelko! Dziękuję ci bardzo za odpowiedź. O mnie wiesz wszystko z liścików, jakie pisałam do innych panienek. Donieś mi moja luba, gdzie mieszkasz? ile masz lat? i czy korespondujesz z jaką panienką? może zechcesz i do mnie pisywać? Całuję cię serdecznie oczekując rychłej odpowiedzi. *Kulka śniegowo.*

Prawdziwą niespodziankę sprawiałaś mi swym liścikiem, miła Niezabudko z nad Chomoru. Nigdyś pewno o mnie nie słyszała, a ja wiem, że się nazywasz M. K. i że mieszkasz w H. W numerze 14 znajdziesz odpowiedź na wszystkie swe pytania, dodam tylko, że geografę także dość lubię. Czy dawno miewasz „Wieczory”? Ciebie, droga Niezapominajko z Zacisza, ściśkam serdecznie, donieś mi jak ci na imię? gdzie mieszkasz i ile masz lat? *Wiedenka z żywołotu*

Jaskółkę z nad Sekwany i Brzydotkę z nad Tamizy pozdrawiam serdecznie.

Kochana błękitna Kokardko i biała Perelko! Nazywacie się Helcia i Józia, mieszkacie w Chodorkowie, grywacie pięknie na fortepianie i śliczne robótki wasze widziałam. Ja też pracuję i choć złotym krokiem, naprzód jednak dążę, a teraz zgadnijcie kim jestem? Wszystkim czytelnikom Wieczorów serdeczne pozdrowienia załączam. *Babuńcia.*

#### NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Czubata Kokoszka z siostrzyczką rs. 1 kop. 45. — Oleńka ze Żmudzi i Przyłaszczka rs. 2. — Gospoia z Podola rs. 1. — Siostry Sikorki rs. 2, nie jak to mylnie wydrukowano rs. 1.